

## „Moje początki”

*Na początku chciałam wtrącić, że zostałam zmuszona do napisania opowiadania na konkurs pod pretekstem dostania dobrej oceny, a w opowieściach łatwo się pogubić, więc stwierdziłam, że będę pisać prawdę i tylko prawdę. Bo po co kolorować coś, co już wygląda jak wyplute przez jednorożca (no może bardziej przez bezkosta, ale to szczegół)? Przejdźmy zatem do rzeczy.*

Zaczęło się to od tego, że musiałam założyć sukienkę i iść do kościoła, co zawsze przynosi kłopoty, a na domiar złego na mszy miały się pojawić moja ciotka Barbara i babcia, bo przecież na Boże Narodzenie trzeba spędzać czas razem. Okazało się jeszcze, że zamiast do jakiegoś kościoła w Krośnie (jest ich tam przynajmniej 7!) pojechaliśmy do Jedlicza, ale no cóż, trudno. Świątynia okazała się wcale nie taka zła, była nawet całkiem ładna. W końcu jej projekt wyszedł spod ręki samego Jana Sasa – Zubrzyckiego! Kościół nie był na tyle duży, żeby się w nim zgubić, ale też nie był zbyt mały. Podobała mi się neogotycka fasada z dwiema wieżami i portalem nad drzwiami. Kościół ładny, wolę takie od barokowych wypchanych złotem budowli. W środku była jeszcze moja ciotka Alina z pobliskiej wsi, poza tym kościół był wypchany nieznanymi mi ludźmi. To dziwne, ale wydawało mi się, że kilka razy ksiądz chciał do mnie podejść i coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zmieniał zdanie. Gdy proboszcz skończył już za długie ogłoszenia parafialne, rodzice zaprosili moją babcie na Wigilię, a ona nas do siebie na pierwszy dzień świąt i dostałam od babci pierścionek, dość zwykły, złoty, cienki, fajny, więc wzięłam, bo czemu by nie? Pojechaliśmy do domu, mijając mnóstwo domów, wyglądających jakby w okolicy wybuchła świąteczna bomba atomowa. Domy przystrojone świecidełkami, Świętymi Mikołajami i innymi bałwanami. Jako że w tym roku Wigilia Bożego Narodzenia miała odbyć się u nas w domu, z bratem musieliśmy udekorować dom w świąteczne ozdoby pokroju tych okropnych świec w złocie i czerwieni.

Na kolację wigilijną przyszła do nas masa ludzi: kilka ciotek, wujków, kuzynów, babcia z siostrą (czyli ciotką Barbarą) i byliśmy my, czyli tata, mama, Igor i ja. Oczywiście standardowo można było odhaczyć z listy świątecznych obowiązków wypytywanie się o chłopaka, oceny w szkole i inne rzeczy pokroju „nie wiem o czym pogadać, ale muszę coś do ciebie powiedzieć”. Wszystko byłoby jak zawsze, na przykład jedzenie piętnastu potraw, (bo ten kto wymyślił dwanaście, nie przewidział, że moja mama aż tak przyłoży się do roli gospodyni) gdyby nie to, że mamy iść na drugi dzień świąt do ciotki Aliny, u której zapraszanie innych ludzi do siebie graniczyło z cudem. A i w międzyczasie jak zwykle oblałam się barszczem. Wszyscy rozeszli się do domów i w takich chwilach doceniam, że ludzie wynaleźli wspaniałą wynalazek o nazwie zmywarka. Gdyby nie ona, musiałabym pozmywać po trzysta talerzy różnego rodzaju. Podczas gdy Igor bawił się nowo otrzymaną kolejką, nastawiłam zmywarkę na tryb szybkiego mycia i poszłam spać (tak, wiem, zdumiewający zwrot akcji).

Obiad u babci był bardzo dobry - w sumie jak zawsze. Podziwiam ciotkę Barbarę za to, że ma osiemdziesiąt cztery lata, a dorosły mężczyzna nie powstydziliby się zjeść tyle co ona (nawet nie ma sztucznej szczęki!), a koniak to mogłaby pić na zamianę z nalewką jak wodę... Nie no, nie ma co, podziwiam babkę. Pomijając ten szczególny fakt i przechodząc do rzeczy

„ważniejszych”, zaczęła się kłótnia na temat alkoholi i jaka biżuteria jest ładna, a jaka brzydka i ogólnie kiczowata (stało na koralu).

*Wtrącając - ciotka Barbara dała żonie swojego wnuka pierścionek z korałem, tylko dlatego, że to najbrzydszy jaki miała, (trzeba przyznać, że ma ich masę, a naraz nosi minimum osiem) więc nie ma tu mowy o żadnej sympatii.* Reszta dnia przebiegła już w dość zwyczajny sposób i nie będę nikogo tym nudzić.

Drugi dzień świąt spędziliśmy u ciotki Aliny. Przy ciastkach, kawie i podobnych rzeczach zaczęła się rozmowa o książkach, które - nie ma co - uwielbiam. Okazało się, że podobno ciotka ma niezły arsenał książek na strychu i mogę sobie wziąć, jakie i ile chcę. Poszłam z kuzynką Olą na strych i faktycznie było tam dużo książek i świec, pewnie jakby miało nie być prądu, bo w Ustrobnej często go nie ma (przynajmniej tak mi powiedziała kuzynka)). Śmiesznie to wyglądało, bo stało tam dużo mebli i w większości z nich były poupychane książki. Co dziwne, poukładano je alfabetycznie, a jeszcze dziwniejsze były ich tytuły, np. „Adwersarze demoniczni”, „Aeryja. Jak opanować?”, „Afekt z biesem, jak wyjść cało?”, „Aequivocatio w cyrografach”. Przeczytałam kilka z nich na głos i Ola popatrzyła na mnie, jakbym przynajmniej zbluzgała ją i jej matkę, po czym szybko zawołała ciotkę Alinę. Ta przyleciała, jakby tylko na to czekała, a i moja mama też (ciotka Alina to siostra mojej mamy, tak dla jasności). To, co powiedziała ciotka, brzmiało jak największa głupota na świecie, a mianowicie, że te książki mają takie tytuły bo tylko okółomagiczne albo magiczne istoty mogą je zobaczyć, a niemagiczni ludzie widzą zwykłe, pokroju lektur szkolnych. Zaczęłam się tak mocno śmiać, że myślałam, że spadnę. Nie no, głupie to! Mama zawołała tatę i poprosiła go, aby przeczytał tytuły książek wcześniej wymienionych i on przeczytał: „Romeo i Julia”, „Lalka”, „101 dalmatyńczyków” i „Latarnik”. Myślałam, że wszyscy się ze mnie śmieją i tylko tak żartują, ale tacie nie było do śmiechu i wręcz przeciwnie, oburzony, że wołamy go z tak głupiego powodu, poszedł obrażony na dół rozmawiać o jakiejś bardzo ważnej rzeczy z wujkiem. To nie był dowód na magiczne rzeczy, ale po tym ciotka zamknęła drzwi na klucz i wykonała kilka ruchów ręką, które wyglądały jakby zaczęła tańczyć makarenę, i nie wiem, co to miało znaczyć, ale wszystkie świece się zapaliły. Doszłam do wniosku, że to są jakieś elektryczne świece i ciotka ma pilota, a wszyscy robią mnie w konia, jednak to nie było wszystko, ciotka machnęła w stronę wazonu, w którym pojawił się płomień, a zaraz po tym kwiaty. Ciotka Alina jak gdyby nigdy nic stwierdziła, że lubi białe złocenie. W tym momencie zaczęłam się zastanawiać, czy nie naćpałam się czegoś i teraz nie wiem, co jest czym, a co nie albo czy nie był to tylko sen i mi się pomylił z rzeczywistością, ale po walnięciu pięścią w ścianę poczułam, jak bardzo jest ona materialnym obiektem. Ciotka i mama usiadły na kanapie, po czym kuzynka podała im dość grubą książkę i o dziwo niezakurzoną. Następnie ciotka zaczęła czytać na głos (podczas gdy ja stałam jak idiotka z otwartymi ustami):

„Do moich następczyń!

W dużym skrócie. Wasz kilka lub kilkanaście razy „pra” dziadek Grigorij zajmujący się czarnoksięstwem podpisał cyrograf z biesem, oczywiście stawką była dusza, aczkolwiek waszemu dziadowi udało się go wygrać (przynajmniej tak mu się wydawało). Jak zwykle ominął mały druczek w cyrografie i przegrał, ale w międzyczasie zaprzyjaźnił się z owym

biesem i chadzał z nim na akwawitę. Więc czart oszczędził jego duszę, ale w zamian zesłał na Grigorija babę - tak właśnie powstało porzekadło „gdzie diabeł nie może, tam babę pośle”. I tako to w każdym pokoleniu po wsze czasy będą pojawiać się baby, a każda kobieta będzie mogła widzieć magię oraz istoty okotomagiczne i magiczne. Musimy odprawiać rytuał raz w roku, aby ta magia nie przestała istnieć, bo w przeciwnym razie na ziemi zaczną się dziać rzeczy straszne: ludzie będą umierać rozszarpywani przez Ciche, bezkosty, kikimory, nader wredne wypadki powodować będą, a utopce wychodzić będą z wody i zaciągać do niej ludzi, dzicy myśliwi będą wychodzić na łowy spoza puszczy i nie tylko.

Ps. Uważajcie na czarownice kości!

Pps. Ja i wasze przodkinie będziemy pisały dzienniki, więc będziecie wiedzieć, co robić.

Elizawieta”

Po tym liście pomyślałam, że moja ciotka, matka i kuzynka uderzyły się w głowę więcej niż parę razy. Ciotka zaczęła tłumaczyć dalej i okazało się, że moja mama nie jest babą, ale widzi magię.

*Baba to określenie na czarownicę, jędzę, megierę, piekielnicę, awanturnicę, ogólnie baba jest, po prostu jednym z najstarszych nazw na wiedźma.*

Moja ciotka jest babą, panuje nad ogniem, a kuzynka tylko widzi magię. Po tym zaczęły mi wszystkie opowiadać, co i jak, co z czym i w ogóle. W skrócie baby mogą panować nad żywiołami, ale na jedną przypada jeden i widzą teksty magiczne tylko tego jednego żywiołu, bo gdyby czarownica zapanowała nad większą ilością, nie dałaby rady takowej mocy utrzymać i po prostu umarłaby, przy okazji niszcząc powierzchnię mniej więcej średniej wsi (były już takie przypadki). Nie rozumiałam, dlaczego dowiedziałam się o tym wszystkim tak późno, ale okazało się, że rytuał krwi można zrobić dopiero po ukończeniu szesnastu i pół roku, a ja mam urodziny dwudziestego czwartego czerwca, więc to pół roku wypada akurat w Wigilię Bożego Narodzenia. Mama powiedziała mi, że do końca roku i przez pierwszy tydzień nowego załatwi mi zwolnienie ze szkoły po to, aby przyjechać do ciotki Aliny, przejść rytuał i móc widzieć istoty magiczne. I razem z ciotką zeszyły na dół, bo jak się okazało była już dziewiąta wieczorem i musieliśmy jechać, a poza tym Igor dał się na dole w niebogłosy. Okazało się, że jestem jakąś czarownicą i teraz mam sobie po prostu iść?! Oburzyłam się, nie ma co.

Następnego dnia przyjechałam do ciotki Aliny z samego rana. Spodziewałam się, że zaprowadzi mnie do jakieś pracowni, żeby robić „czary – mary, hokus - pokus”, ale nie, ciotka powiedziała mi, że ma na śniadanie jajka i muszę je zjeść, bo śniadanie to najważniejszy posiłek dnia. Wow, dowiaduję się, że jestem czarownicą, a ona mi mówi o jedzeniu. Nie no, naprawę? Usiadłyśmy do stołu, zaczęłyśmy jeść, w międzyczasie przyszła do nas Ola. Wujek, jak się okazało, był w pracy (jest lekarzem i tak pracuje w święta). Gdy zjadłyśmy, ciotka Alina odprawiła do pokoju Olę (co wyglądało dość komicznie, Ola ma dwadzieścia lat) po czym z szuflady wyciągnęła nóż, usiadła koło mnie i powiedziała, że teraz odprawi rytuał krwi. Naprawdę!? Tak po prostu, przy stole, bez ceremonii czy czegokolwiek? Z koszyka z owocami wyciągnęła jabłko, przecięła je na pół. Z kieszeni wyjęła igłę i wzięła

mnie za rękę, po czym ukłuła mnie w opuszkę palca tak, aby wyciekło trochę krwi, którą kazała mi wydusić na moją połówkę jabłka. Ona zrobiła to samo. Zamieniliśmy się połówkami i powiedziała, że mam ugryźć kawałek jabłka z jej krwią. Co?! Zaczęła się śmiać i powiedziała, że zawsze się tak żartuje i jakbym tak zrobiła, to okazałabym wielką głupotę, przez którą mogłabym nie przejść rytuału. Wzięła ode mnie połówkę jabłka i gdy dotknęła mojej dłoni z pierścieniem (tak tym od babci), odskoczyła jak poparzona. Głośno zapytała, skąd mam ten pierścionek, a ja po prostu odpowiedziałam jej, że od babci. Ciotka spanikowała i zaczęła krzyczeć, że jestem zaobrączkowana i trzeba przywoływać duchy. Ola przez hałas przysłała do nas i uspokoiła ciotkę. Gdy zapanował umowny spokój, ciotka Alina zaczęła mi tłumaczyć, że zaobrączkowanie to praktyka stosowana przez czarownice kości, a one nie mają naturalnej lub demonicznej mocy, ale bardzo chcą jakkolwiek posiadać, więc polują na baby, aby w najlepszym wypadku wybić im zęby, a w najgorszym zabić. Dzięki kościom udaje im się wyduszać część mocy prawdziwych czarownic. Zaobrączkowanie to konkretnie zablokowanie mocy nieświadomej babie (nie wiem jak to działa, ale zaatakować można tylko pełnoletnią), bo one nie umieją wydobyć z siebie mocy, przez co bardzo trudno im ją złamać i doszła do wniosku, że skoro dostałam ten pierścionek od babci, to ona lub ktoś, kto był z nią, musiał być czarownicą kości. Ciotka szybko zadzwoniła do mojej mamy i wyjaśniła sytuację, razem doszły do wniosku, że zaobrączkowała mnie ciotka Barbara, bo mama nie wyczuwała złej aury od babci, a jej nie sprawdzała. W tym momencie mój podziw do ciotki Barbary spadł do zera. Ciotka Alina oficjalnie przekazała mi wieści, że ona nie wie, co ma robić, więc będzie trzeba przywołać babkę Elizawietę, a dokładniej mam to zrobić ja. Ha, śmieszne, nie umiem nic zrobić, dowiaduję się, że jestem zablokowana i mam jeszcze przywoływać duchy. Nie no, normalny dzień. Ciotka powiedziała mi, jak przywołać babcię (straszenie się śpieszyła): na początku trzeba zaświecić pięć świec, wziąć list od babki Elizawiety zgnieść go w kulkę i będzie działał jak łącznik pomiędzy światami, ponieważ został podpisany jej krwią. Po tym trzeba wyrecytować na głos „zaklęcie”.

*Ja uważam, że to fajny wierszyk, który po przetłumaczeniu brzmi tak:*

*Ja Cię proszę, chodź do mnie,  
jestem kretynem, wiem,  
dlatego przyjdź tu chciej,  
potem spać Ci będzie lżej.*

*Jakby ciotka Alina zobaczyła, że zaklęcie nazywam wierszykiem, to chyba spaliłaby mnie żywcem (w ogóle jakby zobaczyła, że to piszę, byłabym już kupką popiołu, ale cóż, ludzie są naiwni i będą myśleć, że to tylko fikcja literacka).*

Myślałam, że cały ten proces będzie trudniejszy, ale ciotka mnie „pocieszyła” i powiedziała, że babki to ja się tylko zapytam, co mam robić i że ona nie robi nic za mnie, bo jest upartą, zgrzybiałą staruchą. Stwierdziłyśmy, że im szybciej tym lepiej. W międzyczasie musiałam zjeść obiad, bo ciotce zebrało się na bycie dobrą i przykłądną. Tego samego dnia

o szóstej wieczorem przeprowadziłyśmy rytuał na strychu. Zrobiłam to, co opisałam powyżej i usłyszałam niski głos mówiący, że dodzwoniłam się do piekła. Zaczęłam panikować, ale usłyszałam śmiech, jaki można sobie wyobrazić u starszej pani, mówiący, że nowi zawsze się na to nabierają. Ha, ha, bardzo śmieszne! Już wiem, po kim ciotka Alina ma poczucie humoru. Babka zapytała bez ogródek, czego od niej chcę, a ja, znaczy ciotka zaczęła tłumaczyć, co się stało. Po czym nasza kochana głowa rodziny odpowiedziała, że będzie to bardzo łatwe, a mianowicie, mamy pójść do miejsca mocy, ja mam się pożalić mojemu bogu (żywiotu nad, którym panuję), że jestem zablokowana i on mnie odblokuje. Spodziewałam się dużo bardziej skomplikowanego procesu, więc zapytałam, dlaczego tak łatwo, a babka odpowiedziała mi, że czarownice kości nie wiedzą, że ofiarą dla naszych bogów jest po prostu praktykowanie magii i bogowie, jako iż są zapomniani przez większość społeczeństwa, robią wszystko, żebyśmy o nich pamiętały (wszystkie bóstwa są strasznie samolubne).

*Sorry, jeśli ktoś się spodziewał niesamowitej super - duper rzeczy, ale to nie jest pełen zwrotów akcji turecki serial. To życie.*

Odwolałam babkę z powrotem, znaczy no sama sobie poszła, a ja zakończyłam połączenie przez rozprostowanie kartki i zgaszenie świec. Potem nic szczególnego się nie działo. Następnego dnia zostałam obudzona o szóstej rano. Nie mam pojęcia, dlaczego tak wcześnie, ale to może wiejski zwyczaj wstawania z kurami. Zjadłam z ciotką i kuzynką śniadanie (które, zanim wszyscy się ogarnęli, było o ósmej, więc nie rozumiem fenomenu wstawania o szóstej). Ciotka kazała mi pójść z nią na strych i przeczytanie tytułów książek z owymi dziwnymi tytułami. Więc zaczęłam czytać „Adwersarze demoniczni”, „Afekt z biesem, jak wyjść cało?”, „Aeryja. Jak opanować?”. Bingo! - Krzyknęła ciotka. I zaczęła tłumaczyć, że aeryja to powietrze po staropolsku i to znaczy, że moim żywiołem jest właśnie powietrze, bo ona np. w tej książce widzi „Kubusia Puchatka”, powiedziała, że ta książka jest moja i mam się z niej uczyć, ale oczywiście po zlikwidowaniu zaobrączkowania. I jeśli chodzi o temat zablokowania, to powiedziała, że drugiego stycznia (bo wtedy była pełnia i moc jest największa) pójdziemy do miejsca mocy, więc w tym roku nie odprawię corocznego rytuału razem z nią, który odbywa się w nocy z trzydziestego pierwszego grudnia na pierwszego stycznia, a dopóki w nim nie będę uczestniczyć, nie może mi zdradzić, na czym polega. Po tym ogłosiła mi, że trzydziestego grudnia zapytam mojego boga czyli Strzyboga - pana wiatrów czy może mnie odobrączkować i westchnęła, że ja to mam łatwo, bo ona musiałaby prosić Swaroga o pomoc (nie wiem, w czym jej bóg jest gorszy, ale ok.) Dwudziesty dziewiąty, trzydziesty i trzydziesty pierwszy grudnia oraz pierwszy stycznia miały być dniami wolnymi od dziwactw.

Więc faktycznie te dni były zwykłe, nie robiłam nic szczególnego. Chociaż okazało się, że kot ciotki to chochlik, ale ja jeszcze tego nie widzę bo nie przesłam rytuału krwi, więc musiałam wierzyć na słowo. Ciekawe, czy mój chamski kot też jest chochlikiem? ( jak się potem okazało tak i to nader wrednym). Ciotka w nocy z trzydziestego pierwszego na pierwszego, gdzieś poszła, ale nic po za tym mi nie wiadomo.

W końcu drugiego stycznia ciotka zakomenderowała, że idę z nią do kościoła w Jedliczu (miejsca mocy). Zapytałam ją jeszcze, dlaczego akurat to miejsce jest tak potężne

i powiedziała mi, że to dlatego, że w dawnych czasach tam mieściło się miejsce kultu Światowida, ale i dzisiaj można tam przywoływać jakiegokolwiek słowiańskie bóstwa. Architekt, który budował kościół, upamiętnił to bóstwo, budując ściany ze szpiczastymi czubkami, symbolizujące cztery twarze. I co roku jest tam jakiś strażnik, który pilnuje, aby nikt nie przerywał bariery ochronnej w świątyni w czasie rytuałów podczas mszy. W tym roku to była ta sierota, która chciała do mnie podejść kilka razy w kościele. Znowu miałam założyć sukienkę, którą musiałam wziąć ze sobą właśnie po to, żeby udawać pozory porządnej rodziny w kościele. Poszliśmy na mszę na siódmą rano, ponieważ ciotka nie wiedziała, na jak długo zabaluję w panteonie. Gdy wszystkie starsze panie ładnie się wymodliły, poczekałyśmy z ciotką, aż sobie pójdą. Po czym weszliśmy na emporę. Zaczęłam próbę porozumienia się z bóstwem, a mianowicie zaświeciłam siedemnaście świec i ustawiłam je w Swarzycę, usiadłam po turecku przed znakiem, zamknęłam oczy i wykonałam gest ręką, który miał jakąś mało znacząca fikuśną nazwę po łacinie, po czym odmówiłam modlitwę do Strzyboga. Znalazłam się w panteonie słowiańskich bóstw i poczułam, może to głupio zabrzmie, dziwną sympatię do powietrza. Nie bardzo pamiętam, co się działo potem, wiem, że po jakimś czasie usłyszałam delikatny głos mówiący, aby pielęgnować swoją moc i że się jeszcze spotkamy. Potem mówił coś jeszcze, ale jak teraz o tym myślę, to nie pamiętam nic. Gdy wróciłam już do świata śmiertelników, zobaczyłam ciotkę chrapiącą pod ścianą, więc dałam o sobie znać poprzez chrząknięcie (które miało być wyrazem, ale zaszło mi w ustach). Ciotka wstała i powiedziała, że siedziałam osiem godzin w panteonie, czyli jest już czwarta popołudniu. Zakazała mi wstawać, dopóki nie pozbiera świec, gdyż to mogłoby przywołać złe demony, czego nie chcieliśmy. Okazało się, że podróże międzywymiarowe są bardzo męczące. Zataczając się po drodze, wróciłam z ciotką do auta. W domu wróciliśmy do ról przykładowej ciotki i siostrzenicy, ale w tej sytuacji to się nawet ucieszyłam, bo byłam głodna jak wilk. Po obiedzie ciotka wytłumaczyła mi, że teraz, gdy ściągnęłam blokadę mocy, jestem niewidoczna jako baba dla czarownic kości. Ucieszyło mnie to bardzo, bo kto by się nie ucieszył? Potem poszłam spać.

Obudziłam się dopiero o dziewiątej rano. Byłam strasznie głodna, więc jeszcze w piżamie poszłam na za duże śniadanie ciotki. Gdy się ogarnęłam, ciotka miała przeprowadzić rytuał krwi. Usiadłyśmy przy stole, ciotka wyciągnęła jabłko i przecięła je na pół, ponakłuwałyśmy sobie palce, wydusiłyśmy trochę krwi na swoje części owocu po czym ciotka wzięła moją połówkę i złączyła je. Ku mojemu zdziwieniu...

*choć nie, to nie było zdziwienie, teraz coś takiego nie mogłoby mnie zaskoczyć, ale tak się piszę prawda?*

...owoc się scalił. Ciotka mi powiedziała, że to świadczy o zaakceptowaniu mojej krwi przez rodzinną magię i gdyby jabłko się nie złączyło, byłoby to odrzucenie mnie. Ciotka powiedziała mi, że teraz muszę się dużo uczyć o mojej mocy i jak ją wyzwać. Kiedy popatrzyłam na kanapę, na której leżała Masza (kot ciotki), aż się wzdrygnęłam, gdyż zamiast słodkiego kotka leżała brzydka czarna szkarada.

*Dobrze, że mój chochlik nadal wygląda jak zwierzątko, bo w innym wypadku nie dałabym rady spać z nim w jednym łóżku.*

Potem przy robieniu obiadu ciotka dość mocno skaleczyła się w rękę (nie wiem, jak tak można, nóż to ostre narzędzie i ja na przykład bardzo się go boję) i kazała mi przynieść apteczkę, więc tak zrobiłam i gdy chciałam opatrzyć jej ranę, wystarczyło, że przełożyłam bandaż przez jej rękę i ciotka zaczęła się śmiać i odwijać bandaż, po ranie nie było już śladu. Ciocia wytłumaczyła, że to taka wrodzona rzecz dla bab i umieją one ulecząć drobne urazy. Spodobała mi się ta zdolność. Resztę dnia spędziłam na studiowaniu książek o władaniu powietrzem, bóstwach i innych rzeczach z kategorii „dziwne”.

*Tak wyglądały moje początki z magią. Teraz muszę się pochwalić, że umiem wywołać małe tornado i zgasić dość duże ognisko, ale nie potrafię uczynić niczego pożytecznego, do tego jeszcze nie doszłam, ale powinno mi się w końcu udać (przynajmniej mam taką nadzieję). Na razie jeszcze nie uczestniczyłam w corocznym rytuale. I tak chcę zakończyć moje opowiadanie.*

*Łucja Boruc*

Karolina Michalik, kl. VIII a

Miejski Zespół Szkół nr 8 – Szkoła Podstawowa nr 8 w Krośnie